

Wątpliwości pojawiają się już na początku.

Po arabsku mówi się *al-fath* – otwarcie. W Europie: *conquista, conquest*, podbój. Co właściwie wydarzyło się w 711 roku? Inwazja czy stopniowy napływ, jedna z kolejnych migracji z południa, które miały tu miejsce od niepamiętnych czasów i dopiero w późniejszych kronikach zostały ułożone w dramatyczną opowieść o najeździe z Afryki Północnej?

Są badacze, którzy twierdzą, że nie było żadnego podboju, a tym bardziej islamskiego. Islam dopiero się formował i nie znał sam siebie na tyle, by stworzyć pod własnym szyldem spójne państwo – przekonują.

Potem: kto w ogóle przybył? Mówimy „arabska Hiszpania”, „Arabowie”, choć była ich tak naprawdę garstka. Większość przybyszów stanowili Berberowie, ale i oni roztopili się z czasem w masie autochtonów, którzy rodzili się tu, żyli i umierali jak zwykle, tyle że coraz liczniej jako muzułmanie. Arabska była kultura, nie krew.

Geografia, kolejny grząski grunt. Al-Andalus to nie dzisiejsza Andaluzja, jedna z siedemnastu wspólnot autonomicznych Hiszpanii. Jej granice tańczyły na mapach, rozciągały się i kurczyły w zależności od epoki.

W szczytowym okresie pokrywały się z powierzchnią prawie całego Półwyspu, z wyjątkiem niewielkiego Królestwa Asturii na północy. Jednak to na południu Hiszpanii najmocniej biło serce Al-Andalus, to tutaj była stolica kalifatu – Kurtuba. Trudno więc je czasem rozdzielić, choćby podświadomie.

Zawodzi też język. Jak nazwać mieszkańców tego państwa, jakiego używać w odniesieniu do nich przymiotnika? Po hiszpańsku mówi się: *andalusies*, *andalusi*. Żeby opowiedzieć o nich po polsku i co chwilę nie potykać się o słowa, trzeba wymyślić nowe: Al-Andaluzyjczycy, al-andaluzyjski.

Kontrowersje budzi wreszcie interpretacja ich historii.

Chrześcijanie, Żydzi i muzułmanie – współżyli tam z sobą pokojowo czy to raczej współczesna utopia, projekcja pragnień?

Muzułmanie – zapuścili korzenie widoczne do dziś czy odcisnęli się na zasadzie negatywu, dodatkowo umacniając chrześcijańską tożsamość Hiszpanii?

Rekonkwista – istniała jako spójny plan czy była raczej wynalazkiem późniejszych historyków?

Pytań jest bardzo dużo, na niektóre nie ma odpowiedzi.

Wątpliwości nie pozostawia tylko kalendarz. Muzułmanie byli na południu Hiszpanii dłużej niż ci chrześcijanie, którzy przyszli po nich.

KORDOBA, CZYLI WYMAZYWANIE

Najpiękniejszy europejski meczet ma ponad tysiąc dwieście lat i jest wszędzie.

Stoi na półce. Jest na etykietce piwa. Patrzy z koszulek, kubków, otwieraczy do butelek i magnesów na lodówkę.

Wszystkie drogi prowadzą do Meczetu i nie jest to żaden wytarty frazes, bo stare miasto Kordoby naprawdę zbudowane jest tak, że każda włączęga wśród jego niskich zabudowań nieuchronnie kończy się w okolicy La Mezquita.

„Meczet-Kordoba” – napisałam właśnie przez pomyłkę. Miało być: Meczet-Katedra, bo tak brzmi oficjalna nazwa budynku. Nie kasuję błędu, bo jest w nim ziarno prawdy o tym, czym ta budowla jest dla miasta: jego centrum, sercem, esencją. A także jego głównym produktem.

– Byliście już? – pyta Remedios, od której wynajmujemy wilgotne mieszkanie w dzielnicy Fuensanta. Być w Kordobie i nie być w Meczecie – bez sensu.

– Jeszcze nie – odpowiadam. Choć to tylko półprawdy, bo obok niego byłam wiele razy. Chodzę tam w zasadzie codziennie. Idę wzdłuż Gwadalkiwiru, przejmuję jego

rytm – zmierzamy w końcu w tę samą stronę. Al-Wadi al-Kabir – wielka rzeka – nazwali go Arabowie i mieli rację, bo Gwadalkiwir jest szeroki jak świat i majestatyczny.

Kordoba w połowie grudnia sprawia za to wrażenie małej i opuszczonej. Długie i wąskie ulice starego miasta są prawie puste, a gwar zamiast turystów robią kormorany i czaple, które kotłują się w zaroślach nad rzeką. Hotel Awerroes ma spuszczone rolety.

Tym lepiej dla mojego planu. Z taką budowlą jak Wielki Meczet *alias* Katedra pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny *alias* Meczet-Katedra można sobie poczynić na różne sposoby. Odfajkować, bo głupio nie. Pójść raz i spędzić tam cały dzień. Nie iść w ogóle albo obejrzeć z zewnątrz i oszczędzić w ten sposób kilkanaście euro. Ja się czaję. Każdego dnia przychodzę tu na spacer. Zbliżam się, wężę. Obchodzę dookoła – całkiem niezła to przechadzka, bo każde okrążenie to ponad pół kilometra. Wewnątrz to dwadzieścia trzy tysiące czterysta metrów kwadratowych – powierzchnia większa niż Bazyliki Świętego Piotra. Daję się oślepiac ośmiu złotym bramom i unikam patrzenia w stronę sklepów z turystycznym barachłem oraz restauracji z kiepskim żarciem, które otoczyły Meczet-Katedrę ciasnym kor-donem.

Przysiadam na ogromnym patio pełnym drzewek pomarańczowych, żeby przeczytać kilka brawurowo skrojonych akapitów o lesie prawie tysiąca kolumn z marmuru, jaspisu i granitu i o trzystu sześćdziesięciu pięciu czerwono-białych łukach: „dzikim, trójwymiarowym gąszczu, gabinecie luster, w którym ciągle echo łuków i niesforne *staccato* kolorów dezorientują

oglądającego”¹. Albo o geniuszu architektów z VIII wieku, którzy przekształcili neutralne komponenty architektoniczne (łuki, klince) w „narzędzia chaosu”, podważając tym samym oczekiwania dotyczące samej istoty architektury², czy o szczytach „wizualnego dramatyizmu”, osiągniętych w ramach aikonicznej kultury i wirtuozerii, która „angażuje odbiorców, nie uciekając się do opowiadania historii”³.

Na patio panuje spokój. Pozorny, bo jesteśmy na polu bitwy. O tym też czytam. Przeglądam artykuły o skandalu, jaki wybuchł, kiedy w 2014 roku z Google Maps zniknęła nazwa „Meczet-Katedra”, pozostawiając po sobie osamotniony człon „Katedra”, i o tym, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin pod petycją z protestem podpisało się prawie sześćdziesiąt tysięcy ludzi.

Znajduję informacje, że już w 2010 roku biskup Kordoby apelował do mediów i władz: „Podwójna nazwa dezorientuje turystów”, i że jeszcze przed kontrowersjami z mapą słowo „Meczet” zniknęło z ulotek, materiałów informacyjnych i strony internetowej.

Czytam wreszcie o tym, że lokalni działacze, którzy zaczęli się wówczas uważniej przyglądać temu, jak Kościół administruje świątynią, odkryli – właściwie przypadkiem – że w połowie lat dwutysięcznych potajemnie przepisał na siebie własność budynku, który do tej pory „tylko” użytkował.

Może gdyby dotyczyło to innej budowli, sprawa nie odbiłaby się takim echem. Chodzi jednak o jeden z cu-

1 Jerrilynn D. Dodds, *The Great Mosque of Cordoba*, [w:] *Al-Andalus, the Art of Islamic Spain*, red. Jerrilynn D. Dodds, New York 1992, s. 13. Jeśli nie zaznaczono inaczej, cytaty w przekładzie autorki.

2 Ibidem, s. 15.

3 Ibidem, s. 22.

dów Hiszpanii, do którego ciągną co roku dwa miliony turystów, i jedyny wielki meczet z czasów Al-Andalus, który przetrwał, jedną z najstarszych i największych świątyń w Europie. Od wyburzenia w czasach, gdy masowo pozbywano się islamskich budowli, uratowała ją jej własna uroda. I może gdyby nie to bezczelne piękno, w ogóle nie byłoby sprawy.

A jest.